All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.

PAMIĘTAJ, ABYŚ DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ. III P. B.

Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 19go SIERPNIA 1897 ROKU. Nr. 33.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 19 Sierpnia, Zebalda. Piątek 20 Sierpnia, Bernard. Sobota 21 Sierpnia, Joanny. Niedziela 22 Sierpnia, Symforyan. Poniedziałek 23 Sierpnia, Filipa. Wtorek 24 Sierpnia, Bartłomiej. Środa 25 Sierpnia, Ludwika.

Na Niedzielę XI. po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Marka w rozdziale VII.

Onego czasu: Wyszedłszy Jezus z granic Tyru, przeszedł przez Sydon od morza Galiliejskiego, przez pośrodek granic Dekapolskich. I przywiedli mu głuchego i niemego, a prosili Go, aby nań rękę włożył. A odwiódłszy go na stronę od rzeszy, wpuścił palce w uszy jego, a splunąwszy dotknął się języka jego, a wejrzawszy w niebo, westchnął i rzekł mu: Effetha: to jest: otwórz się. I wnet się otworzyły uszy jego, i rozwiązała się związka języka jego, i wymawiał dobrze. I przykazał im, aby nikomu nie powiadali. Ale im więcej on im nakazywał, tem daleko więcej rozsławiali i tem bardziej się dziwowali mówiąc: Dobrze wszystko uczynił i głuche uczynił, że słyszą, i nieme, że mówią.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Obraz szczęscia domowego.

(*Z życia ludu wiejskiego.*)

Stary Wojciech powracał z miasteczka do rodzinnej wioski swojej. Wieczór był ciepły i spokojny, droga szła przez las modrzewiowy i brzozowy, wózek lekko toczył się po twardo ubitym gościńcu, a koniki, wietrząc bliskość domowej stajenki, nie potrzebowały bata, aby ję popędzać, ale rżąc i parskając, szybkim pędziły kłusem. Wojciech rozmaite snując myśli, przysłuchiwał się świegotaniu leśnych ptasząt, które po krzewinach i drzewach szukały, nucąc jakby piosnkę wieczorną, noclegu dla siebie. Wojciech wyjechawszy z tego mroku leśnego, wstrzymał na chwilę konie, i z pagórka przypatrywał się zachodzącemu słońcu. Cała okolica w promieniach zachodu, jakby złotem oblana morzem, uroczy przedstawiała widok. U stóp pagórka była wioska bogata w sady i warzywne ogrody, a wszystkie grusze i jabłonie białym, jakby śniegiem, były obsypane kwiatem, a w pośrodku tych sadów chata Wojciecha wyglądała na pół zakryta jasnem liściem rozkosznych włoskich orzechów. Każdy mógł ją poznać i rozróżnić po gnieździe bociana na dachu. Gęste dymy na znak jutrzejszej pogody poważnie, przy blasku słońca, jak słupy w górę się wznosiły. Gwar rozmaitych głosów, i ludzkich i bydlęcych, jakby szmer rojących się pszczółek, po całej rozległej rozchodził się okolicy. Na przeciwległej stronie podobny wznosił się pagórek, ukośnemi zorany zagonami, na których wprawne gospodarza oko już z daleka mogło rozróżniać jęczmień i owies wschodzący i żyto bujnym wysypane kłosem. Wojciech wolnym jechał dalej krokiem, a z pod kopyt końskich

gęste tumany pyłu się wznosiły. Gdy on tak milcząc jedzie, spostrzegł już z daleka podróżnego, spiesznym krokiem krętą ku wiosce idącego ścieżką; podpędziwszy bliżej koniki, donośnym zawołał głosem:

— Hej, panie podróżny, zatrzymajcie się i usiądźcie; jabym was mógł odwieść do wsi.

Wiekiem i długą znużony drogą podróżny, posłyszawszy to wezwanie, z radością przeskoczył rów koło gościńca i zbliżył się do woza.

— Ba! Co ja widzę! Wszak to wy, panie.... ot jużem zapomniał, jak się tam nazywacie.

— Walenty!

— A tak, tak, panie Walenty, dyćeście nie zapomnieli sołtysa Wojciecha, cośmy to razem chodzili na odpust do Gostynia?

— O! o dobrych ludziach to się nie tak łatwo zapomina — odrzekł organista, — boć i tak mało ich już na świecie! Ale żem nie zapomniał, macie dobry dowód, bom nadłożył milę drogi, aby wedle słowa danego odwiedzić wioskę waszą.

— Dziękujemy, dziękujemy wam bardzo. Wspominaliśmy też nieraz o was, a dziatwa ciągle pytała: kiedyż to przyjedzie ten pan, co nam tak piękne dał obrazki? I żona moja bardzo ciekawa was poznać; bo też to kobiety zawsze ciekawe. Ale siadajcie, bo już bardzo pociemniało i zimna pada rosa, a do wioski jeszcze spory kawał drogi.

To mówiąc, poprawił siedzenie, rozścielił kilimek i pomógł Walentemu wsiąść na wóz.

— Dobry macie zaprząg, panie Wojciechu.

— Ta, nie urokuj! nie złe szkapy: samem je sobie wychował. Nieraz to one woziły już Pana Jezusa. Bo jak kto zachoruje we wsi, która do obcej należy parafii, a po księdza jechać trzeba, to moje koniki zawsze na usługi i we dnie i w nocy. Dzięki Bogu! mam jeszcze w domu i drugą i trzecią parę i dwa jarzma wołów.

— Kto z Bogiem, Bóg z nim, i dla tego, — dodał organista — tak wam Bóg we wszystkiem błogosławi.

— Oj, co prawda, to prawda — odrzekł Wojciech; — a jednak człowiek to dobrze czuje, że nie taki jest względem Boga, jakimby być powinien.

— Dobrze i to, że tę prawdę poznajecie, mój Wojciechu, bo kto widzi grzechy w sobie, ten się i łatwiej ich pozbędzie. Czy wam Bóg dał dużo dzieci?

— Ot, jest tego cała gromadka, dziewięcioro, a ani jedno nie umarło! Pięć dziewcząt, a czterech chłopców; zdrowe jak rzepa, a figlarne jak rybki we wodzie; ale przytem poczciwe, pobożne i posłuszne. Ja nie wiem, jak to inni się skarżą, że dużo mają dzieci. Da Bóg dziecko, da też i kawałek chleba dla niego. A to tylko w początku ciężko, bo później to już samo na siebie zarobi. A moje dzieci to nie próżnują, ale zawczasu napędzam je do pracy; łatwo teraz przy zniesionej pańszczyźnie mieć i zarobek. Ot, widzicie z daleka ten wielki dworzec? We mgle wieczornej ciężko go rozeznać. Dobre tam państwo mieszka i ogród jest tam wielki, dużo jarzyn i kwiatów i drzew; tam najchętniej dzieci do roboty posyłam, nawet choćby za to nic nie płacono. Bo pani tego dworu, oj dobra to pani! to jak matka dla ludu; zawsze się tam czegoś dobrego nauczą. Ale to łatwo mieć dobre dzieci, kiedy się ma dobrą żonę; a takiej drugiej jak moja, to w całej nie znajdzie się okolicy.

— A gdzieżeście taki skarb wyszukali? — zapytał Walenty.

— Gdzie? ot zaraz w sąsiedzkiej chacie. Córka biednego wyrobnika, nie miała żadnego wiana; ojciec umarł, a ona sama jedna pracowała krwawo na siebie i na matkę kalekę. Pogardzili nią ludzie, a jam się jej z

bliska i uważnie przypatrywał i nigdym na niej nic złego nie dostrzegł. Nikt z ust jej nie posłyszał złego słowa, nikt jej nie widział w karczmie i na tańcach. W późnej jesieni, gdy siedząc koło słabej matki, przędła na kądzieli i śpiewała pieśni pobożne, tom po całych godzinach siedząc na przyzbie, przysłuchiwał się jej śpiewaniu: a widzieć ją było w kościele, a tam ją często można było znaleźć, to aż się serce radowało, patrząc na nią. Wszyscy sądzili, że młody i bogaty Wojciech będzie bardzo przebierał w wyborze żony. Ale jakie to było zdziwienie, kiedy sześć miesięcy po śmierci matki mojej Małgorzaty, ksiądz proboszcz przeczytał z ambony nasze zapowiedzi. Wszyscy jakby ukropem oparzeni, spojrzeli na mnie i na nią. Było tam gadaniny i plotek co nie miara po całej wiosce, ba i po całej okolicy. Ale ksiądz proboszcz, który mój wybór pochwalił, zawsze za mną obstawał. A ja tak mocną miałem ufność, że mi Bóg dla takiego wyboru pobłogosławi, że mnie te gadaniny ludzkie wcale nie trwożyły. Niejedna matka, co to córkę swoję chciała wydać za mnie, jak osa się zżymała; niejeden ojciec dąsał się, że mnie za zięcia nie dostał; ale to wszystko nic nie pomogło. Jutro właśnie rocznica ślubu naszego. Dwadzieścia lat minęło odtąd i codziennie Bogu dziękuję, że mi dał taką żonę; a ona łagodnością, pokorą i dobrocią tak wszystkie zmieniła serca, że dziś w całej wiosce jest kochaną i szanowaną.

Tak rozmawiając wjechali do wsi, wóz zaturkotał po kamieniach, a po tym turkocie Małgorzata poznała, że to Wojciech jedzie i oparta na furtce ogrodowej, otoczona do koła dziatkami, czekała na powitanie męża. I wóz stanął pod bramą i wszyscy radośnie otoczyli Wojciecha.

— No, powoli, powoli! bo mnie zadusicie z miłości; a jakże się tam macie?

— A, dzięki Bogu! zdrowo i wszystko dobrze; a wam jakże się tam na jarmarku powodziło?

— Ot, nie najgorzej, zboże po dobrej sprzedało się cenie; będzie za co i podatek zapłacić i dom zaopatrzyć.

— A cóżeście nam przywieźli, tatulu? — dzieci jednym zawołały głosem.

— Na, macie!

To mówiąc Wojciech, rozwinął chustkę i wysypał makiem i solą obsypane obwarzanki, które dzieci chrustać poczęły, że aż stary kundys wstał z pod proga i łasząc się, zbliżył do jedzących, ale nic nie dostawszy, z łbem zwieszonym smutny powrócił na swoje legowisko.

— A dla mnie nic nie przywiózłeś, Wojciechu! — zapytała z uśmiechem Małgorzata.

— A gdzieżbym ja o tobie zapomniał — rzekł Wojciech i z pod szaraku wydobył piękny drylich. — To dla ciebie na fartuszek; ale ja wam coś lepszego przywiózł, jak to wszystko.

— A co, co? — zawołała ciekawie matka z dziećmi.

Wojciech się obejrzał i spostrzegł Walentego opodal stojącego, który oparty na gałęzi bzu, przypatrywał się milcząco temu radosnemu powitaniu.

— Przywiózłem wam gościa; pamiętajcie przyjąć go jak najserdeczniej! Bóg nam go przysłał na jutrzejszą uroczystość. A czy znacie tego pana? — zapytał ojciec starszych dzieci, które z nim chodziły na odpust do Gostynia.

Najpierw z pod oka, a potem oko w oko spojrzawszy na przybyłego gościa, klasnęły dzieci w dłonie z radości, wołając:

— O to ten sam pan, matko, który nam tak piękne dał obrazki! — i każde z uszanowaniem ucałowało ręce jego, a on je z radością przyciskał do serca. I wielka w całej rodzinie panowała radość.

— No, Stachu! — zawołał Wojciech

na parobka, który z motyką na plecach, wracając z pola, przez płot ogrodowy przełaził; zaprowadź konie do stajni i daj im wody i siana, a wóz zatocz do stodoły. Ale to już późno, księżyc zszedł, idź Małgosiu połóż dzieci spać, a potem wracaj, ale nie z próżnemi rękami; pan Walenty trochę przekąsi, to i ja nie od tego. Ale pierwej, za pozwoleniem gościa, wedle naszego codziennego zwyczaju odśpiewamy pieśń: ,,Pod Twoją obronę'', przed tym obrazem Matki Boskiej na blasze, nad bramą, strzegącej zagrody naszej.

I pieśń ucichła, a Wojciech z Walentym zapaliwszy lulkę, usiedli na darniowej ławie przed domem. Zabłysło słabe w izbie światełko, słychać było głos matki, odmawiającej z dziećmi wieczorne pacierze. Walenty i Wojciech odłożyli lulki i z odkrytą uklękli głową, wspólnie odmawiając modlitwę. Tylko świercz polny tęsknym i smutnym w trawie odzywał się głosem, a świętojańskie robaczki migotały jak gwiazdy latające. — I wkrótce drzwi skrzypnęły i wyszła Małgorzata, trzymając w ręku spory dzban maślanki i świeżego chleba bochenek, i z kądzielą w ręku usiadła obok męża. Bo Małgorzata nigdy nie próżnowała. Nie próżnowały jej ręce, nie próżnowała jej myśl, nie próżnowało jej serce; w pracy, w przemyśle, w modlitwie, schodziła godzina po godzinie i dzień po dniu i rok po roku. Tylko język jej często próżnował, bo lubiła milczenie i nigdy niepotrzebnych słów nie mawiała. Dla tego to było zawsze tak cicho i swobodnie i w sercu i w myśli i w domu jej.

— Bodaj to żyć tak po bożemu! aż serce rośnie między wami, dobrzy ludzie, rzekł Walenty; oj, bo to prawda, gdzie Boga nie ma, tam i szczęścia nie ma; bo człowiek dla Boga od Boga stworzony, o tyle jest szczęśliwszy, o ile więcej Boga kocha.

— Tak, to prawda — rzekła westchnąwszy Małgorzata — a jednak można Boga kochać i być nieszczęśliwą. Ja to dobrze doznałam. Będąc jeszcze dziewczyną zawsze Boga kochałam szczerze i serdecznie, a jednak ilem ja to łez przelała i nic nie mogłam wypłakać.

— Oto wypłakaliście sobie — dodał Walenty, — to szczęście, jakie dziś posiadacie! Ono wyrosło z łez waszych jak kłosek z rosy nieba.

— Tak, to prawda, — dodała rzewnym głosem Małgorzata — patrząc z rozczuleniem na męża; więcej mi Bóg dał, niżem sobie zasłużyła.

— Nie mów tego — odezwał się Wojciech; to mnie Bóg tobą pobłogosławił, za co nie wiem.

— Ale ja dobrze wiem — przerwała Małgorzata; — za to, żeś się ulitował nad biedną wdową i sierotą! Bo pokądmy ciebie nie znali, to już rozpacz brała: nic dla matki słabej ani wypracować, ani wyżebrać, ani wypłakać nie mogłam. Parę grządek w ogródku, a nie było czem ogrodzić; jedna krówka, a nie było gdzie popaść.

— A wszakże tu tak dobrego macie pana — rzekł Walenty.

— Aj to prawda, a pani sama, to nie pani, ale matka nasza. Bogaci i zdrowi to ją mało znają, ale chorych i ubogich trzeba się o nią zapytać! Ona nigdy ubogim i prostakiem nie gardzi. Ale to nie dziw, bo chodzi codziennie do kościoła, i modli się i klęczy przy ołtarzu jakby jedna z nas; a jak odejdzie, to aż kamień mokry od łez, na którym klęczała; a jak przyjdzie niedziela, a organisty nie ma, gra jak ta święta, jakże się ona nazywa?

— Święta Cecylia.

— A tak, tak, jak święta Cecylia gra i śpiewa pieśni nabożne z dziećmi naszemi. Bo te dzieci chodzą do niej, a ona uczy je i pisać i czytać i śpiewać i różnych robót. Ale cóż, kiedy jej wtenczas w domu nie było. Pracowałam aż w późną noc, ale nigdy pra-

ca moja od nędzy uchronić nas nie mogła, aż gdyśmy się z Wojciechem bliżej poznali, to wtedy już dobrze nam było. Ale to prawda, że mi nieszczęście pokoju duszy nie odebrało.

— Więc widzicie, — rzekł Walenty, — że można być szczęśliwą nawet przy biedzie i nędzy, kiedy się tylko Boga kocha. Czybyście byli chcieli zamieniać pokój duszy na pieniądze niegodziwie nabyte?

— Oj, nigdy, nigdy! — zawołała Małgorzata. — Nikt tak spokojnie nie usypia, jak nieboszczka matka umierała.

— Byłem i ja jej śmierci przytomny — rzekł Wojciech, — a gdy ksiądz proboszcz po przyjęciu Najświętszego Sakramentu zapytał, czy jej nie żal umierać, ona rzekła: "A czegożbym żałować miała? Ubogi śmierci się nie lęka. Mój skarb to Bóg i w nim nadzieja, że tego skarbu na wieki nie utracę! Dziękuję mu za wszystkie cierpienia, które przy łasce Jego bez szemrania znosiłam, powtarzając ciągle: Bądź wola Twoja!—Będę miała z czem stanąć na sądzie Bożym. A kiedy wy, Wojciechu, chcecie pojąć za żonę dziecko moje, to już teraz zupełnie spokojnie umieram. Bóg wam to nagrodzi! Była dobrą órką, więc będzie też dobrą żoną." I pobłogosławiła nam i umarła.

Gdy Wojciech tak mówił, wrzeciono wypadło z rąk Małgorzaty i łzy się w oczach zakręciły, a Walenty milcząc, słuchał w wielkiem wzruszeniu. Wtem jedno z dzieci w izbie zapłakało. Małgorzata mówiąc: "dobra noc!" pospieszyła do chaty.

— Panie Walenty, już późna noc, zagadaliśmy się. Gwiazdy północ wskazują. W izbie duszno i parno, możecie wygodniej przespać się w stodole, nikt was tam nie będzie budził, chyba ten słowik w krzewinie. Ale nie myślcie jutro odchodzić; bo to jutro, jak wiecie, rocznica ślubu naszego.

— Chętnie z wami zostanę! Gdybym mógł, tobym na całe życie pozostał.

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieki wieków. Amen.

— Dobra noc, panie Walenty!

— Dobra noc, panie Wojciechu!

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Ciąg dalszy.

ODSŁONA TRZECIA.

Rzecz dzieje się przed chatą Eustachiusza w Egipcie.

Scena Pierwsza.

Eustachiusz (*wracając z pola*).

Eustachiusz. Gorąco dzisiaj było; a spociłem się, jakby mnie kto z wody wyciągnął; — no, ale wieczór będzie chłodny i orzeźwiający a wypoczynek nader miły. Tak samo rzecz się ma z życiem ludzkiem. Po dniach cierpienia zwykle następują dni wesołe i pełne pokoju. Już 15 lat przebywam u tych dobrych ludzi; a w tym długim przeciągu lat, boleść wynikająca z utraty żony i dzieci znacznie złagodniała. Teraz pod tą wiejską odzieżą już bije serce uspokojone i oddane Bogu. Przed laty piętnastu nie myślałem, aby było kiedykolwiek możebnem, że kiedyś dni życia mojego będą wypogodzone; — ha!.... czas zabliźnia rany, a Bóg Najdobrotliwszy pociesza, jeżeli człek zdaje się całem sercem na jego wolę świętą. — Cóż to za żołnierze idą?.... Cóż ich sprowadza w te strony?

Scena Druga.

Eustachiusz, Akacyusz i Antyochiusz (*uzbrojeni w dzidy*).

Eustachiusz (*w sercu poznając ich*). Boże Wielki, toż to są moi wierni słudzy Aka-

cyusz i Antyochiusz; poznaję ich; ale nie wydam się z tem (*głośno*). Witajcie, żołnierze! Wojownicy w tej oddalonej okolicy, to prawdziwe zjawisko. Proszę, usiądźcie na ławkę i wypocznijcie cokolwiek.

AKACYUSZ. Również witaj nam, przyjacielski wieśniaku! Zaproszenie twoje do wypoczynku z wdzięcznością przyjmujemy.

ANTYOCHIUSZ. Dzisiejsze gorąco i długa przestrzeń drogi, którą przebyliśmy, bardzo nas osłabiły; potrzebujemy istotnie wypoczynku. Możebyś zechciał nas przenocować?

EUSTACHIUSZ. Z największą przyjemnością was ugoszczę i przenocuję. Sądzę, że i poczciwy Klit i żona jego Klara, radzi temu będą; bo zawsze cieszą się, kiedy mogą komuś przysłużyć się, a zwłaszcza, kiedy mogą spełnić uczynek miłosierdzia. Ja ich o tem zaraz powiadomię; ale... jakiż to cel waszego przybycia tutaj, jeżeli mi jest wolno zapytać się?

AKACYUSZ. Cesarz Trajan gotuje się do wojny przeciwko Partom i chce koniecznie, aby niejaki Placyd, były dowódzca jego wojska, który już raz Partów pobił a wielce lubiany był w wojsku, napowrót objął dowództwo. Ten Placyd opuścił Italię i wywędrował do Egiptu, i nikt nie wie, gdzie się utrzymuje. Cesarz więc rozesłał na wszystkie strony ludzi, w celu odnalezienia go. My właśnie obaj jesteśmy jednymi z tych ludzi, i cieszyłoby nas bardzo, gdybyśmy go odnaleźli, mianowicie z tego względu cieszyłoby nas, że jesteśmy dawni jego słudzy. Ale nam się zdaje, że próżne są nasze starania.

EUSTACHIUSZ. Czy ów Placyd jest rzeczywiście tak dzielnym dowódzcą, że cesarz tak koniecznie chce go odnaleźć?

ANTYOCHIUSZ. Jest nim rzeczywiście. Ale nie tylko jest dzielnym dowódzcą; przedewszystkiem, co jest najcenniejszem.... jest on najcnotliwszy i najbardziej godzien szacunku mąż, którego kiedykolwiek w życiu mojem zaznałem.

AKACYUSZ. Tak jest; jest to człowiek niezrównany.

EUSTACHIUSZ. Ej!... mnie się zdaje, że wy go za wiele chwalicie; on ani o włos nie jest lepszym odemnie, i dla tego nie jest godzien znowu takich pochwał.

ANTYOCHIUSZ (*pełen zapału*). Ani o włos lepszym jak ty? — Chłopie, jak ja widzę, to ty nie masz złego wyobrażenia o sobie. — Cnota skromności, widzę, jest daleką od ciebie.

AKACYUSZ. A jak znakomitą niewiastą jest jego żona; — zupełnie wdała się w swojego męża. Mieli także (*z uśmiechem*) dwóch chłopców pełnych ognia i życia a kwitnących jak róże. Nieraz mówiliśmy między sobą: "Oj będzie to ładna para rycerzy, o których świat wiele będzie mówił." (*Eustachiusz odwraca się i zakrywa sobie oczy*).

Scena Trzecia.

AKACYUSZ i ANTYOCHIUSZ (*sami*).

ANTYOCHIUSZ. Bracie, zdaje mi się, że się nie mylę: im dłużej patrzę na tego człowieka, tem podobniejszym wydaje mi się być naszemu Eustachiuszowi. Głos i wymowa zupełnie jak u Eustachiusza... Tylko przypatrz się mu dobrze, kiedy wróci, a to samo powiesz.

AKACYUSZ. Jakżeż to być może! Przecież Eustachiusz został ciężko raniony w jednej bitwie lancą tuż przy karku i chociaż rana się zagoiła, jednak blizna pozostała. Tej blizny ja na tym człowieku nie zauważyłem. Eustachiusz tylko po bliźnie tuż przy karku może być poznanym.

ANTYOCHIUSZ. Akacyusz, co by to za radość była, gdyby to był Eustachiusz!

AKACYUSZ. Przypominasz sobie Antyochiuszu, jak podpadająco odezwał się ten człowiek, kiedyśmy Placyda chwalili.... Przypominasz sobie, jak to on powiedział te

słowa: "On ani o włos nie jest lepszym odemnie."

Antyochiusz. Rzecz za chwilkę się wyjaśni. Ten człowiek wraca i prowadzi z sobą, zdaje mi się, domowników swoich.

Scena Czwarta.

Ci sami, Eustachiusz, Klit i Klara.

Eustachiusz (*do Klita i Klary.*) Ci dwaj żołnierze szukają dla wojska rzymskiego dowódzcy, którego nie mogą znaleźć; (*po cichu*) nie wydawajcie mojego nazwiska!

Klit. Witajcie waleczni mężowie! Bardzo mnie cieszy, że u mnie nocujecie!

Klara. Witajcie żołnierze! — Ubogie przyjęcie, jakie wam damy, przyjmijcie chętnie.

Akacyusz. Głód i osłabienie czem tem dają się zaspokoić; a wasza serdeczność bardzo nam jest przyjemną.

Antyochiusz. Czy tutaj was tylko troje jest?

Klit. Mój ojciec Klemens umarł w bardzo podeszłym wieku przeszłego roku; a moich dwóch synów, ten oto poczciwiec (*wskazując na Eustachiusza*) wykształcił w wojskowym zawodzie na oficerów, którzy są w Alexandryi.

Akacyusz (*sekretnie do Antyochiusza*). Słyszysz! on jest wojskowym (*obaj powstają i chodzą tam i napowrót, rzucając sekretnie badawcze wejrzenia na Eustachiusza*).

Antyochiusz (*przechodząc koło Eusta chiusza, wlepia oczy w jego kark i woła*): Eustachiusz! (*obaj rzucają mu się do stóp*).

Eustachiusz (*podnosi ich i obejmuje rękami*). Tak, ja jestem dawnym waszym dowódzcą Placydem; waszym ojcowskim przyjacielem Eustachiuszem. Witam was, witam was tysiąckrotnie!

Akacyusz. Eustachiuszu, jaką radość nam sprawiłeś, żeśmy cię znaleźli!

Antyochiusz (*płacząc z radości*). O! jakież szczęście dla nas, że cię znowu widzimy! A jakaż to radość będzie w Rzymie, zapał między wojskiem, kiedy ciebie sprowadzimy! Oto pismo cesarskie, które ciebie na nowo mianuje naczelnym dowódzcą (*oddaje mu list od cesarza*).

Eustachiusz. Ponieważ znaleźliście mnie w tak odludnym zakątku, uważam to za wolę Bożą i pójdę z wami.

Klara. I nas opuścisz? Nie czyńże nam tej przykrości!

Klit. Czy chcesz Eustachiuszu na nowo narażać się na niebezpieczeństwa? Czy ci nie jest dobrze u nas?

Eustachiusz. O jak chętniebym został z wami! pośród was pędziłem najpiękniejsze i najspokojniejsze dni życia mojego. Ale obowiązek mnie woła; sumienie mi tak wskazuje. Niech wam Bóg Najdobrotliwszy zapłaci za to wszystko, coście mi uczynili! Za waszą miłość, jaką żywiliście dla mnie, nie potrafię się wam dość wywdzięczyć. Da Bóg, zobaczym się przecież jeszcze, a przynajmniej — tam w niebie (*Klara płacze*).

Akacyusz. Ale gdzież jest twoja żona Teopista? Gdzie twoi synowie Agapiusz i Teopist?

Eustachiusz. O! nie otwierajcie mi na nowo rany mojego serca! Ja żony nie mam; a dzieci moje z pewnością już nie żyją (*zakrywa sobie twarz*).

Klara. Jego żonę porwał jakiś murzyn; a dwóch jego synów porwały dzikie zwierzęta.

Antyochiusz. O, że też tę naszą radość widzenia się goryczą zaprawić musiała ta smutna nowina.

Akacyusz. Panie nasz kochany, gdybyś wziął z sobą nas obu, kiedyś puszczał się w podróż, bylibyśmy cię z pewnością obronili i przed owymi murzynami i przed dzikiemi zwierzętami.

Antyochiusz (*dobywając miecza*). Murzyna owego, gdyby się w oczach moich

rzucił na cię, tym oto mieczem posiekałbym na kawałki.

Akacyusz (*chodząc wzburzony tam i sam*). Pięknych jak kwiaty Agapiusza i Teopista, zapewniam cię, nasz panie, w mej obecności dzikie zwierzęta by nie porwały (*dobywając miecza*). Panie! ten miecz tutaj, byłby utopiony w paszczy lwa; a wilk ów chyba mnie by pożarł ale nie Teopista.

Klara (*podając rękę Akacyuszowi i Antyochiuszowi z płaczem*). O jak szlachetnego charakteru jesteście żołnierze! Za tę gotowość poświęcenia się dla Eustachiusza Bóg Najwyższy niech wam zapłaci!... Chodźcie na wieczerzę i posilcie się dobrze, bo potrzebujecie nowych sił do przyszłej a tak długiej podróży.

Eustachiusz. Jutro udamy się w podróż do Rzymu. Rzeczywiście na taką podróż dobrze nam się przygotować potrzeba (*wychodzą*).

Ciąg dalszy nastąpi.

Obrona Trembowli.

Dokończenie.

Obok niewiasty stał rycerz młody,
Patrzył się na nią w niemym zachwycie,
Jakby w niej czerpał ducha swobody,
Co mu dał poczuć dzielniejsze życie.

Tak się w jej oczy jak w księgę wczytał,
Jej chwała jego stała się chwałą,
Bo kiedy upadł przeszyty strzałą,
Z uśmiechem gońca śmierci powitał.

Krew z jego rany płynie obficie,
A on ostatek sił jeszcze zbiera,
I woła: "szparko ucieka życie,
Lecz pamięć czynów z niem nie umiera."

Pragnie się podnieść, ale się słania,
I za kraj szaty niewiastę chwyta:
"Pani, wysłuchaj mego wyznania,
Bo dusza moja w grzechu spowita.

Jam winny zbrodni, okropnej zdrady,
Szatan mi w ucho poszepnął słowo,
Jam pierwszy czynił z wrogiem układy,
I braci serca zachwiał namową.

Niepomny na sąd kraju i Boga,
Jam śmiał pozbawić twierdzę obrony,
Bo serce gnuśna objęła trwoga,
I zatęskniłem do młodej żony.

Zgrzeszyłem, wielka moja jest wina,
Atoli krew ta plamę zaciera,
Błogosławiony dzień i godzina,
Co mi do łaski drogę otwiera.

Zacna niewiasto, tyś to sprawiła,
Że syn nieprzeklnie ojca pamięci,
I że mi lekką będzie mogiła,
Gdy łza ją moich braci poświęci.

Jam nie bogaty, jeno miecz stary
Ojciec po przodkach dał mi w spuściznie,
Co prawej w rękach ich bronił wiary,
I jak przystało służył ojczyznie.

Miecz ten racz przesłać do megu domu,
Niech go synowi matka pokaże,
Niech w jego rękach ma siłę gromu,
Co broni zacne a podłe karze."

Rzekł — i miecz stary złożył w jej dłonie,
I skamieniały w mgle śmierci oczy,
A blask zachodu oblał ich skronie.
Z lica niewiasty wiał duch proroczy.

* * *

Znowu noc mija i ranek dnieje,
Hukiem dział ziemia zadrżała święta,
Z dymem uchodzą wrogów nadzieje,
Bo twierdzę broni moc niepojęta.

I znów jak wczoraj, tam u wyłomu,
Śnieżną chorągwią suknia powiewa,
Jak groźna wieszczba pogan pogromu,
Co serce Baszy trwogą przeszywa.

Nigdy nad polską pono dzielnicą,
W cudniejszej krasie słońce nie wstało,
Miecz w każdym ręku lśnił błyskawicą,
A czoła zorzy świtały chwałą.



Chora babcia i jej wnuczka kochana.

Nagle rycerze z Trembowli szczytów,
Widzą z podziwem w obozie wroga,
Jakby grom wypadł z czystych błękitów,
Powstaje wrzawa i rośnie trwoga.

Toczą się działa, chorągwie lecą,
Jako śnieg w słońcu znikły namioty,
Jeszcze księżyce nad niemi świecą,
Ale w tumanie giną już roty.

W tem zdala ziemia jęknęła gromem,
Jakby świat cały z posad się walił,
Niewiasta stojąc ponad wyłomem
Woła: "o, bracia! Bóg nas ocalił.

Słyszę głos jego, to mściciel Boży,
To nasz Jan trzeci przybył na sławę,
Nim słońce głowę do snu położy,
On skosi mieczem wrogów jak trawę."

* * *

Rycerze wielbią moc niepojętą,
I pieśń w powietrzu dzwoni nad niemi,
Gdy kapłan czyni ofiarę świętą,
"Witaj królowo nieba i ziemi!"

A kiedy pędzel słońca złocisty,
Malował lasy, pola i góry,
Nagle jak gdyby świat duchów mglisty,
Liczny huf jeźdźców wypłynął z chmury.

Ale to nie są duchy ni cienie,
Ku wałom twierdzy na koniach lecą,
Słychać już tętent kopyt i rżenie,
W blasku zachodu proporce świecą.

To polskie orły lśnią i pogonie,
I piersi mężów jak stal ich twarde,
Silne i groźne jak piorun dłonie,
I jako baszty czoła ich harde.

Już wódz rycerzy stanął u brony,
A okrzyk z wałów radośny bije:
Pogromca pogan, wódz niezwalczony,
To król Jan trzeci, niech król nasz żyje.

Król najprzód wodza załogi woła,
Dzięki za twierdzy czyni obronę,
Ale Samuel patrzy do koła.
I milcząc, wskaże ręką na żonę.

A kiedy król go ciekawie bada,
Coby znaczyła ta białogłowa,
On rzecz jak była mu opowiada,
W końcu do niego prawi w te słowa:

"Królu mój, panie mój miłościwy,
Nie mnie a żonie cześć się należy,
Jej to hart serca, gniew sprawiedliwy,
Ocalił sławę twoich rycerzy."

Król gładząc wąsa, lekko się skłonił,
I rzekł, w niewiasty patrząc się lice:
"Dzięki, Bóg tarczą nas twą osłonił,
Pan wierną podniósł swą służebnicę.

Liść najcudowniejszy ziemi wawrzynu,
Gdzie taka dzielna wzrosła niewiasta,
Więc na pamiątkę owego czynu,
Włożę na głowę koronę Piasta."

Dlaczego powinniśmy uczyć się i znać literaturę polską.

Literatura czyli piśmiennictwo w ogóle jest to owoc ducha ludzkiego, natury twórczej, ujawniony pismem lub słowem. Piśmiennictwo polskie zaś obejmuje tylko utwory i dzieła poetów i pisarzy, którzy pisali po polsku. Każdy oświecony naród posiada swoje piśmiennictwo i każdy człowiek powinien się uczyć szczególnie swojego ojczystego piśmiennictwa.

My Polacy możemy się poszczycić tem, że posiadamy nadzwyczaj bogate i piękne piśmiennictwo, mogące stać na równi z jakiemkolwiek innem piśmiennictwem europejskiem. Poeci, jak Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Malczewski, Brodziński, Pol i wielu innych mogą słusznie równać się z Szekspirem, Byronem, Tennysonem, Dantem, Goethem, Schillerem i innymi.

Wiele dzieł polskich przetłumaczono na obce języki jak np. dzieła Adama Mickiewicza przetłumaczono już na dziewięć różnych języków. Nie mamy więc przyczyny twier-

dzić, że stoimy niżej pod względem oświaty jak inne narody.

Młodzież polska powinna pilnie uczyć się piśmiennictwa polskiego a to z wielu powodów. Tak jak ciało potrzebuje pokarmu, tak i dusza tego samego wymaga. Wymaga pokarmu duchowego, którym jest piśmiennictwo. Duch nasz nie zadawalnia się temi pospolitemi rzeczami, które widzi codziennie, lecz pragnie coś wyższego, wznioślejszego a to znajduje jedynie w piśmiennictwie.

Znać piśmiennictwo polskie jest potrzebnem dla nas jeszcze z innego powodu. Piśmiennictwo jest niby zwierciadłem, w którem odbija się cała teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. W każdym utworze maluje się dobitnie charakter i sposób myślenia autora, jakoteż charakterystyka jego czasów.

W piśmiennictwie polskiem poznajemy całą historyę narodu naszego, poznajemy wielkich bohaterów i królów, sławne czyny naszych przodków, zwyczaje, obyczaje i sposób noszenia się za dawnych czasów, w krótkości całą historyę polską. Czyż to nie rzewna pieśń Pola, gdy tak odzywa się do braci swych opisując kraj polski:

"A czy znasz ty bracie młody
Te pokrewne twoje rody?
Tych górali i Litwinów
I Żmudź świętą i Rusinów?"

Przez poznawanie dzieł ojczystych zapoznajemy się bliżej z regułami gramatyki polskiej i uczymy się mówić płynnie i czysto po polsku. Przez zaznajamianie się z piśmiennictwem polskiem duch nasz kształci się i ulatuje w wyższe, nieznane sfery a serce jest przepełnione radością i staje się gotowem do szlachetnych czynów.

Czytając np. "Grażynę" Adama Mickiewicza, w której on opisuje, jak słaba niewiasta nie mogąc znieść tej hańby, aby bracia przeciw braciom walczyli, wdziewa na się zbroję i uderza na Krzyżaków a w końcu wskutek zadanej rany umiera, mimowoli pytamy sami siebie: "To była niewiasta, a cóż my dopiero powinniśmy byli uczynić, będąc mężczyznami?" Oprócz tego uczucia patryotycznego piśmiennictwo polskie wzbudza w nas jeszcze inne. Jest niem uczucie miłości Boga.

Piśmiennictwo odrywa serca nasze od rzeczy ziemskich a zwraca je ku Bogu, ku niebu, gdzie jedynie prawdziwa radość panuje.

W "Powrocie Taty" opisuje nam Mickiewicz, jak dzieci przez modlitwę wyprosiły sobie u Boga szczęśliwy powrót ojca, czyli opisuje nam potęgę modlitwy. Gdy kupiec dziękuje rozbójnikowi za darowanie mu życia, ten mu tak odpowiada:

"Nie dziękuj, wyznam ci szczerze:
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze."

Oprócz tego piśmiennictwo polskie zawiera tyle szacownych skarbów, które jak dyamenty w koronie ozdabiają piśmiennictwo nasze.

W "Janie Bieleckim" Juliusz Słowacki opisuje wesele Jana Bieleckiego z Anną, która chociaż powinnaby być szczęśliwą, jednak jest smutną. Poeta pyta się dlaczego i taką dostaje odpowiedź:

"Dla czegóż smutna? Patrz na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora krysztale:
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zawiesza i kryje się w fale:
Lilia wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje. — Ona miała czucie kwiatu."

W "Panu Tadeuszu" Mickiewicz opisuje nam muzykę Jankiela na cymbałach w ten sposób:

"Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, atak, szturm; słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek. Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drzały
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści."

Dalej wygrał muzyk ową piękną piosenkę:

"O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego".

Oto zakończenie muzyki Jankiela:

"I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: "Jeszcze Polska nie zginęła,"
Marsz Dąbrowski do Polski!
I wszyscy klasnęli,
I wszyscy "Marsz Dąbrowski"
Chórem zakrzyknęli."

Także i wiele innych skarbów posiada piśmiennictwo polskie i nie mielibyśmy z nich korzystać? Szczególnie młodzież kształci się wielce przez zapoznawanie się z polską literaturą, gdyż jest to jedyne właściwe zajęcie dla młodzieży w czasie wolnym od pracy. Piśmiennictwo polskie nie tylko wykazuje dodatnie strony naszego narodu, lecz i ujemne i zarazem pobudza nas do wystrzegania się różnych wad i ułomności.

Jeszcze wiele innych zalet posiada piśmiennictwo polskie, które uczący się go łatwo dostrzeże. Z tych wszystkich powodów powinniśmy piśmiennictwo nasze znać, gdyż jest to tylko właściwy pokarm dla duszy ludzkiej — dla duszy polskiej.

W. Kwiatkowski,
uczeń Kolegium św. Stanisława Kostki w Chicago, Ill.

* * *

(To piękne wypracowanie, jak widzimy, napisane przez jednego z uczniów kolegium św. Stanisława Kostki, jest najlepszym dowodem, że szkoła rzeczona stoi na wysokości swego zadania. W obec tego jest naszym świętym obowiązkiem tenże zakład gorąco popierać. Pamiętajcie więc o nim, polscy rodzice, i posyłajcie do niego swych synów. Wszelkie zgłoszenia przyjmuje: Ks. Jan Kruszyński, Noble & Ingraham St., Chicago, Ills.)

Słówko do małżonków.

O wiele szczęśliwiej żyliby ze sobą małżonkowie, gdyby chcieli trzymać się następujących przepisów:

1. Starać się domowe sprawy dla siebie samych zachować. Niezmiernie przeszkadza szczęściu małżeńskiemu rozpowiadać wszystkim, ale choćby tylko przyjaciołom i przyjaciółkom, lub nawet braciom i siostrom o drobnych chwilowych nieporozumieniach. Nikomu nawet najciślejszemu przyjacielowi nie powinno żadne z małżonków na drugie się skarżyć.

2. Wydatki należy zastósować do dochodów, a pamiętać też o tem, ażeby coś na „czarną chwilę“ odłożyć.

3. We wzajemnem ze sobą postępowaniu o ile możności taką kierować się uprzejmością, jaka panowała w czasach „narzeczeństwa“.

4. Pamiętać zawsze o tem, że mąż lub żona nie jest i nie może być aniołem, tylko jest człowiekiem ułomnym.

5. Starać się wzajemnie zawsze być pociechą, pomocą i współczującym przyjacielem dla drugiego.

6. W domu równą kierować się wzajemną uprzejmością jak w obec obcych.

7. Własne błędy uznawać z ochotą i nie upierać się przy tem, jakoby się miało słuszność, jeżeli w rzeczywistości ma się niesłuszność.

8. Rozdrażnionego nie drażnić jeszcze więcej sprzeciwianiem się, ale odczekać cierpliwie chwili spokojnej dla spokojnego rozmówienia się.

9. Ze słownika małżeńskiego usunąć raz na zawsze wyrazy: obraza, obrażanie się, a kierować się niezmiennie jak najzupełniejszą otwartością. Małżonek w małżonce, a małżonka w małżonku najzupełniejsze powinni pokładać zaufanie i żadnych absolutnie tajemnic przed sobą mieć nie powinni.

10. Szczęściem jest prawdziwem, jeżeli w chwilach grożącego niepokoju małżeńskiego lub nieporozumień, jedno przynajmniej z małżonków zachowa tyle rozsądku, by drugie poprowadzić przed obraz świętej Familii, na obraz ten wskazać i pod nim się rozmówić spokojnie.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON

W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

VI.

Ananasy. — Żółw. — Jaja żółwie. — Jeleń i Anakonda. — Przestrach Janka. — Duża rzeka.

Tymczasem głód zaczynał znowu dokuczać dotkliwie biednemu małemu Robinsonowi. Orzechy wcale go nie nasyciły, oglądał się więc na wszystkie strony, czy nie ujrzy jakiego pożywienia. Parę razy mignęły wśród liści jakieś jagody, to czerwone, to czarne, ale Janek nie odważyłby się ich jeść, bo wiedział, że takie nieznane owoce mogą zawierać w sobie straszliwe trucizny, matka mu nieraz zalecała, aby nic takiego nie pokosztował, o czem nie wiedział na pewno, że nie zaszkodzi, a on teraz zrozumiał już dobrze, jak to mamy we wszystkiem słuchać trzeba.

A w tem spostrzegł pośród zarośli duże, złociste owoce, poznał je odrazu i z radością poskoczył w tę stronę. Były to dzikie ananasy. Janek zerwał ich kilka, pokłuł sobie przytem trochę ręce, ale nie zważał na to, rozłamał najpiękniejszy ananas i z wielkim smakiem zajadał słodki, soczysty ośrodek.

Orzeźwiło go to na chwilę, ale głodu nie zaspokoiło. Chłopczyna czuł się nadzwyczaj osłabiony i znużony, nie tracił jednak odwagi i szedł ciągle dalej. Słońce paliło strasznie, bo nad brzegami strumienia drzewa zaczęły się przerzedzać, a Janek obawiał się zapuszczać w las, aby znowu drogi nie stracić.

Minęło tak kilka godzin, Janek z położenia słońca na niebie zmiarkował, że musi być około południa. Był on bardzo uważny, jeszcze więc bawiąc się pod okiem matki w cienistem ustroniu, obok domu, spostrzegł, że gdy słońce wzniosło się wysoko na niebie, wprost nad jego głową, matka wołała go na drugie śniadanie, a to była godzina południowa.

I tu na puszczy żołądek jego domagał się gwałtownie tego drugiego śniadania, tak się uczuł osłabionym, że musiał się zatrzymać i usiadł pod drzewem, a łzy gorące popłynęły mu z oczu.

— Mój Boże, zlituj się nademną! — wołał biedny Janek, składając ręce do modlitwy — przebacz mi moje nieposłuszeństwo, uratuj od głodu!

A gdy wymawiał te wyrazy, spostrzegł nagle przez łzy coś poruszającego się na ziemi pośród liści, coś dużego, czarnego.... Zrazu Janek przeląkł się i krzyknął przeraźliwie, zrywając się na równe nogi, lecz wnet się uspokoił; poznał, że to był żółw, zwierzę łagodne, które mu nic złego zrobić nie mogło. Przyszło mu też zaraz na myśl, że żółwie są dobre do jedzenia; on wprawdzie nigdy tej potrawy nie kosztował, ale słyszał o niej nieraz.

— Gdybym ja mógł złapać tego żółwia — powiedział Janek sam do siebie — rozpaliłbym ogień, upiekłbym go i miałbym wyborny obiad.

Ba! łatwo to było mówić, ale skąd tu wziąć ognia? Chłopczyk słyszał wprawdzie, że dzicy ludzie rozpalają ogień, trąc mocno

dwa kawałki suchego drzewa jeden o drugi; czuł jednak, że onby nie miał na to siły, zwłaszcza teraz, gdy był taki oslabiony, zmęczony i wygłodzony. Nie było więc o czem myśleć, bo przecież surowego mięsa żółwia jeść nie mógł, pewnieby go zresztą i zabić nie potrafił.

Westchnął więc ciężko, gdy nowa myśl zaświtała mu w głowie. Wiedział, że żółwie składają jaja nad wodą, bo matka mu o tem opowiadała, mówiła także, jak to krajowcy amerykańscy te jaja zbierają i jedzą. Ach! gdybyż mu się udało znaleźć takie gniazdo żółwie, mógłby jaja zjeść na surowo, toż byłby dopiero przysmak!

Wstał Janek, nową ożywiony nadzieją i poszedł na brzeg rzeczki; po drodze spotkał drugiego żółwia, wlokącego się powoli od wybrzeża ku zaroślom, potem spostrzegł i trzeciego.

— Oho! — pomyślał sobie — teraz już pewny jestem, że one tu gdzieś muszą mieć swoje jaja.

I nie omylił się Janek; wkrótce natrafił na bagnistem wybrzeżu rzeki na miejscu, gdzie mnóstwo leżało jaj żółwich, jedne obok drugich. Jajka to malutkie, szare, miały twardszą daleko skorupkę, niż ptasie, bo chociaż Janek, chwytając je chciwie, niejedno upuścił, żadne się nie rozbiło.

Chłopczyk nasz był uszczęśliwiony, nim jednak zabrał się do jedzenia, ukląkł na piasku i serdeczną modlitwą podziękował Bogu za ten ratunek, który mu zesłał tak w porę, gdy go już siły opuszczały.

Jaja żółwie smakowały mu bardzo. Może gdyby był miał do wyboru inne potrawy, nie byłby się niemi zadowolnił, ale w tej chwili chłopczykowi się zdawało, że nigdy w życiu nie kosztował takiego przysmaku.

Podjadłszy sobie dobrze i zaczerpnąwszy wody z rzeki w duży liść, skręcony w trąbkę, upatrzył sobie cieniste miejsce pod dużem, rozgałęzionem drzewem i usiadł wygodnie, ażeby dobrze wypocząć. Rozglądając się na wszystkie strony, Janek obaczył niewielkie, zgrabne zwierzątko, które wybiegło z gęstwiny leśnej i zaczęło pić wodę w rzece. Chłopczyk widywał nieraz na obrazkach różne zwierzęta, poznał też odrazu, że to nie było żadne drapieżne stworzenie, tylko dziki jakiś jeleń. Nie większy od kozła domowego, ładniejszy był jednak, a nadewszystko zgrabniejszy, sierść miał ciemno płową, małe, sterczące różki na głowie, króciuteńki ogonek i bardzo zwinnie wyskakiwał na cienkich nóżkach.

Janek z zajęciem przypatrywał się zgrabnym ruchom koziołka, gdy w tem nagle zadrżał cały, osłupiał i z wielkiego przerażenia w pierwszej chwili nie mógł, ani krzyknąć, ani się ruszyć z miejsca. Bo też okropny widok miał przed sobą. Ujrzał, jak drzewo nadbrzeżne, przy którem stał koziołek, pijący wodę wstrząsło się gwałtownie, chociaż najmniejszego wiatru nie było, ogromny, potworny wąż spadł z drzewa prosto na biedne zwierzątko i owinął je w mgnieniu oka grubem swem cielskiem.

Gdy Janek oprzytomniał, zerwał się szybko i zaczął biedz z całej siły, nie oglądając się poza siebie, aż póki się tak nie zmęczył, że padł na trawę i nie był w stanie się poruszyć. Odetchnąwszy i uspokoiwszy się, usiadł i zaczął patrzeć niespokojnie na wszystkie strony. Nic podejrzanego nie obaczył nigdzie, wąż musiał pozostać bardzo daleko, przypomniał też sobie chłopczyk, co kiedyś czytał o takich ogromnych wężach, że po pożarciu jakiej zdobyczy wpadają w odrętwienie i przez czas jakiś leżą nieruchome.

I miał słuszność; amerykański wąż olbrzymi, zwany anakonda, przebywa zwykle w wodzie, czatując na zwierzynę, sadowi się na drzewach, a gdy zdusi zdobycz swoją, a potem zamieni ją w miazgę i przełknie, le-

ży nieruchomo, aż póki nie strawi tego pokarmu. Takiż sam zwyczaj ma i lądowy olbrzymi wąż boa, czyli dusiciel, który znajduje się w różnych częściach świata, w strefach gorących. W Ameryce południowej, gdzie dużo jest rzek ogromnych, wodne węże anakondy są najpospolitsze.

Ochłonąwszy z przerażenia, Janek spostrzegł ku wielkiej swojej radości, że nie oddalił się od rzeki, widział ją zawsze przez gęstwinę leśną, mógł więc iść dalej tąż samą drogą, trzymając się wybrzeży. Wstał i szedł przez parę godzin bez odpoczynku.

Tymczasem droga stawała się coraz trudniejsza, las znowu był niezmiernie gęsty, ogromne pnie drzew stały jeden przy drugim, gałęzie ich splatały się z sobą, różne wijące się rośliny zwieszały się z nich aż do ziemi; chłopczyna chociaż był szczupły i zręczny, nieraz obchodzić musiał te zarośla, bo nie mógł się przez nie przedrzeć. Teraz już nie widział wcale słońca, czasem prawie zupełnie ciemno było w gęstwinie leśnej, Jankowi zdawało się, że już od południa minęło dużo czasu i że musi być niedaleko do wieczora.

Głód zaczynał mu znowu bardzo dokuczać, a tu nawet orzechów żadnych nigdzie nie było widać, tylko niezmierna obfitość liści, jakby murem nieprzebytym osłaniała widok ze wszystkich stron.

Już odwaga zaczynała opuszczać biednego naszego Robinsona, gdy widok zwolna się odsłonił przed nim i w oddaleniu obaczył wodę bardzo szeroko rozlaną, a rzeka przy której brzegu postępował, wpadała do niej z wielkim szumem i łoskotem.

— Morze! morze! — zawołał Janek na głos i ucieszył się niezmiernie, bo mu się zdawało, że tu już koniecznie spotkać musi ludzi. Dziwił się jednak trochę, jakim sposobem tak prędko dostał się do morza, kiedy z rodzicami parę dni płynął parowcem po rzece, z miasta portowego do miejsca ich zamieszkania.

Radość i nadzieja dodały mu sił nowych, przyspieszył kroku i wkrótce stanął przy ujściu rzeki, ale zmartwił się chłopczyna, gdy obaczył, że się omylił. Ta wielka woda, to nie było morze, tylko inna rzeka szeroka, do której owa mniejsza wpadała. Widać było doskonale brzeg przeciwny, a na nim piękne, wyniosłe drzewa.

Janek usiadł na małym wzgórku u zbiegu dwóch rzek i nie mógł łez powstrzymać. Wnet jednak uspokoił się, łzy otarł i powiedział sobie, że przecież ta duża rzeka z pewnością już do morza płynąć musi, więc trzeba tylko trzymać się jej brzegów, ażeby się tam dostać i w końcu do jakiegoś portowego miasta trafić.

Potem przyszło na myśl chłopczykowi, że po takich rzekach szerokich żeglują parowe statki i on przecież z rodzicami na takim parowcu podróżował. Mógłby zawołać z całej siły, dawać różne znaki i pewnieby go marynarze spostrzegli i zabrali. Żebyż tylko znaleść cośkolwiek do jedzenia, zanim ten statek nadpłynie. Janek wlepił oczy w rzekę i serce mu uderzyło gwałtownie, w oddaleniu obaczył, nie okręt wprawdzie, lecz małą łódkę, płynącą chyżo w tę stronę, widział nawet wyraźnie wiosła, odgarniające wodę i ludzi, którzy je w rękach trzymali. W głowie mu zaszumiało, radość ogromna przytomność mu prawie odebrała, zdało mu się, że już jest uratowany.

Dalszy ciąg nastąpi.

Od Administracyi.

Donosimy naszym pp. Abonentom w Philadelphii, Pa., że p. Welzand przestał już być ajentem "Dnia Świętego" i "Gazety Katolickiej" a tem samem do odbierania prenumeraty w naszem imieniu nie jest upoważniony.